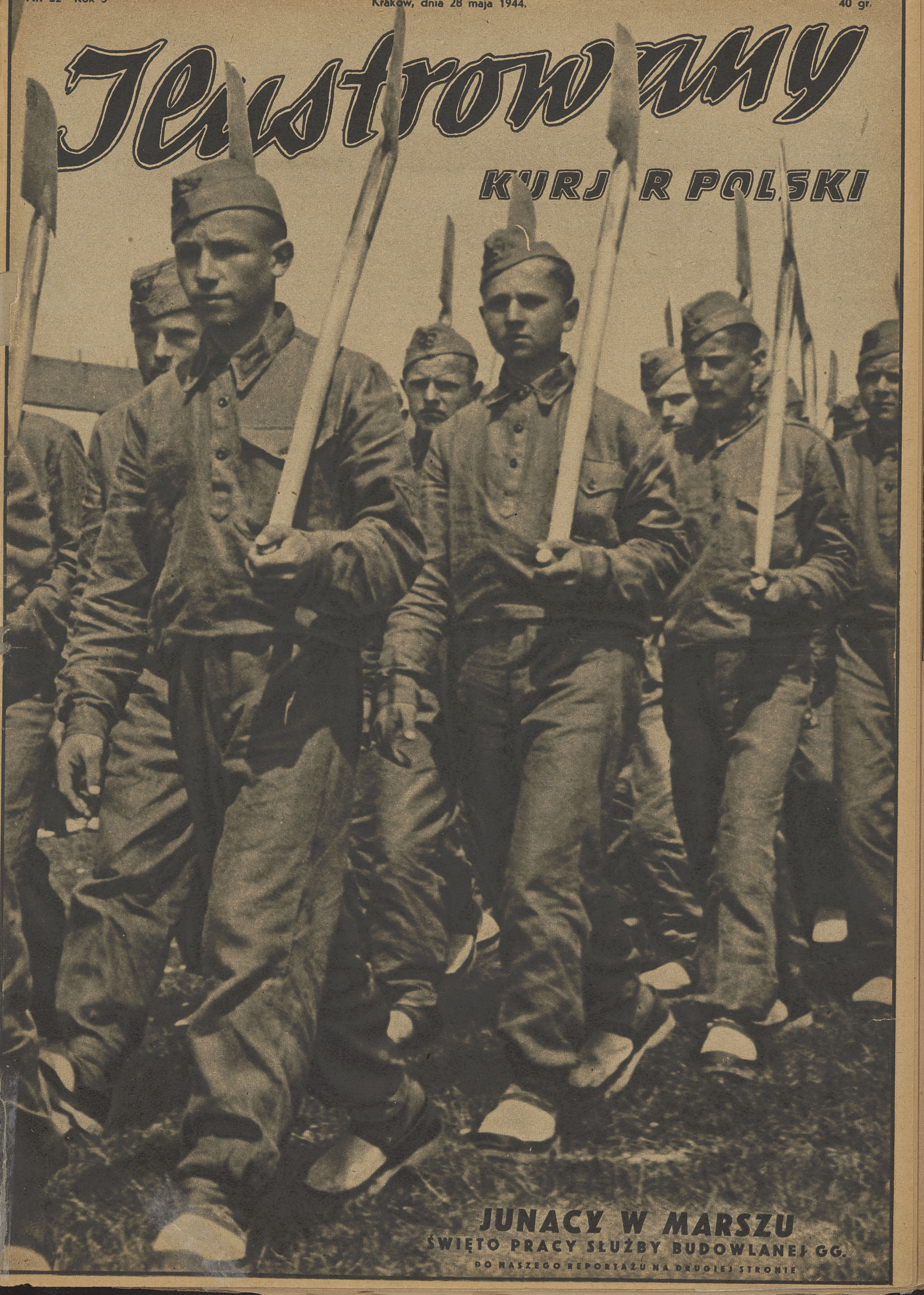
Nr. 22 Rok 5 Kraków, dnia 28 maja 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



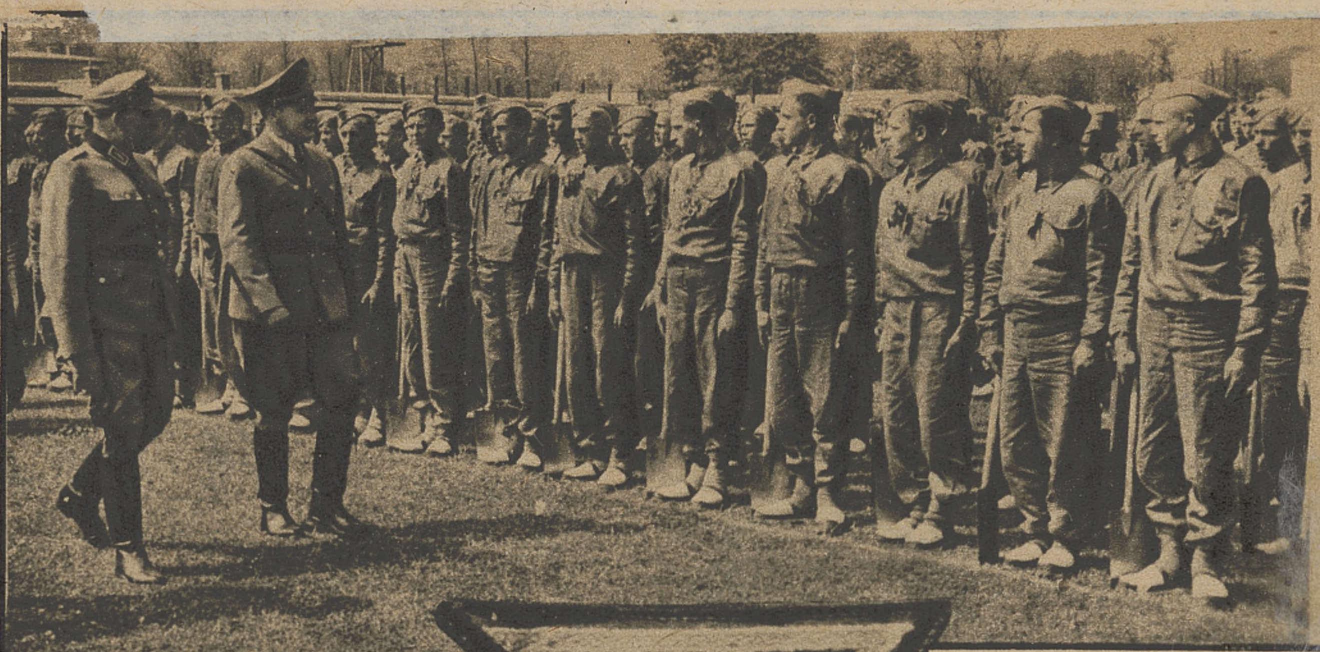
JUNACY W MARSZU

ŚWIĘTO PRACY SŁUŻBY BUDOWLANEJ GG.

DO NASZEGO REPORTAŻU NA DRUGIEJ STRONIE

Generalny Gubernator Dr. Frank po ukończeniu przeglądu rozmawia z poszczególnymi junakami.







Powyżej: Generalny Gubernator Dr. Frank w towarzystwie generała Hinkla przechodzi przed frontem Służby Budowlanej.

CZTEROLECIE SŁUŻBY BUDOWLANEJ GG

W dniu 20 maja Polska Służba Budowlana obchodziła uroczyście rocznicę swego czteroletniego istnienia. Od chwili swego powstania dokonała ta organizacja imponujących prac w zakresie budowy dróg i mostów, naprawy uszkodzonych arterii komunikacyjnych itp., wystawiając tym samym wymowne świadectwo swej użyteczności.

Z okazji tego święta pracy, na stadionie sportowym w Krakowie przemawiali: Generalny Gubernator Dr. Frank i dowódca Służby Budowlanej gen. Hinkel do 4000 zebranych członków Polskiej Służby Budowlanej wyrażając im swe uznanie za wzorową pracę oraz lojalne zrozumienie spoczywających na nich zadań.





Powyżej: Dowódca Służby Budowlanej w GG. gen. Hinkel podczas przemówienia.

Na lewo: W długich szeregach stoją junacy w czasie uroczystości na stadionie.

Fot: Borek





Na lewo: Po uroczystości junacy otrzymali na Błoniach smaczny i pożywny posiłek...

Powyżej: a po obiedzie papierosy.

Poniżej: Oddziały junaków w marszu.



PORTUGALIA



Na lewo:
Bardzo ważną arterię portugalskiego gospodarstwa stanowi żegluga przybrzeżna i rzeczna, gdyż dzięki dogodnemu dla niej ujściu rzek, żaglowce transportowe zapuszczają się daleko w głąb kraju. Toteż na wybrzeżu Portugalii oraz wzdłuż rzek skupiają się przeważnie miasta i miasteczka, podczas gdy wnętrze kraju jest stosunkowo słabo zaludnione.

Na prawo:

Estriol jest ulubioną plażą Lizbony. Ponieważ w lecie panują w stolicy ogromne upały, znużeni mieszkańcy szukają orzeźwienia w chłodzie jaki niesie z sobą wiatr morski.

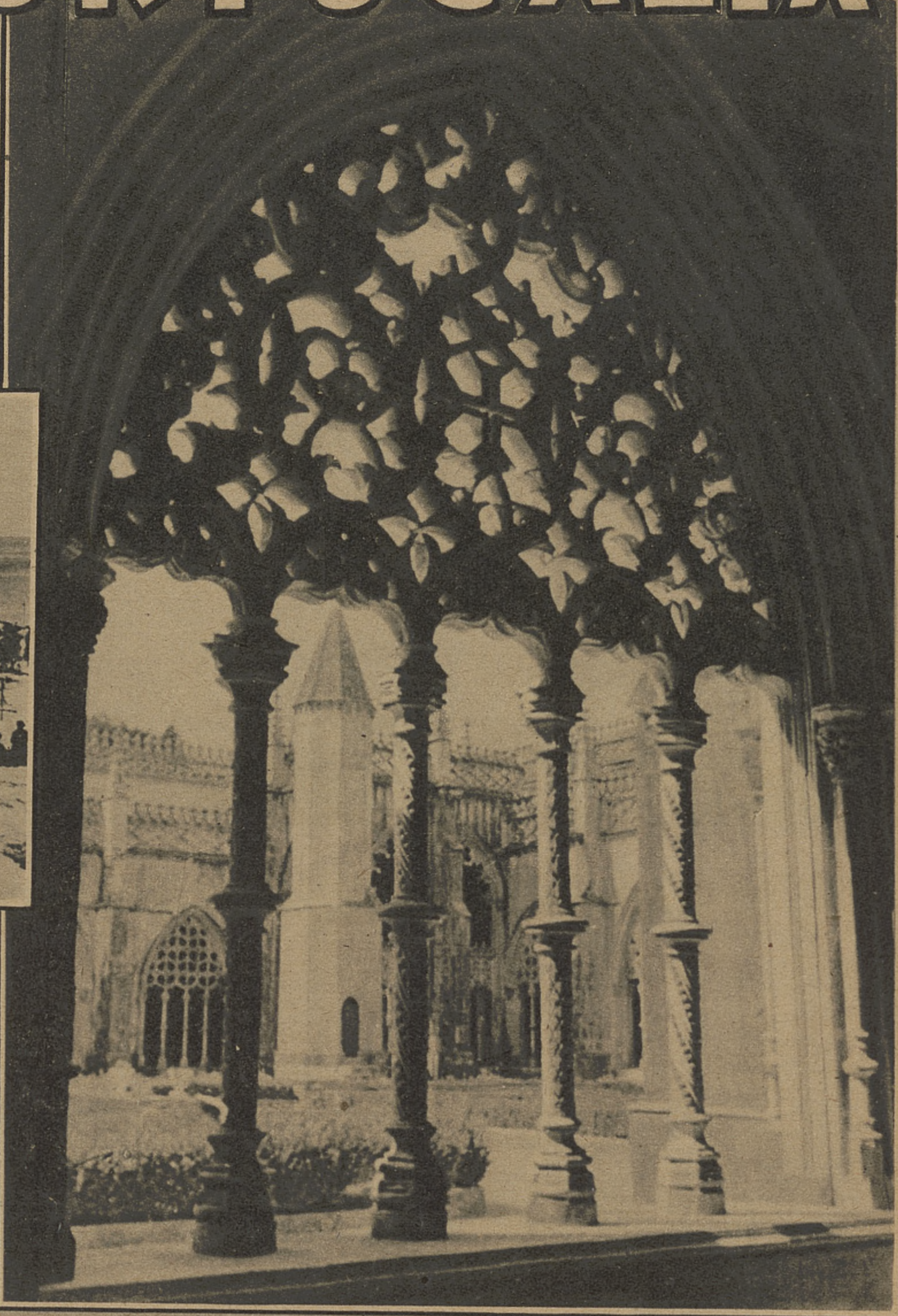


Poniżej:

Na prowincji utrzymały się prawie wszędzie po dziś dzień dawne stroje ludowe, a w dnie świąteczne i jarmarki, wieśniaczki i wieśniacy tańczą chętnie stare tańce ludowe. Przebywając wśród mieszkańców Portugalii tak miłujących dawne tradycje, można zrozumieć, że Portugalia nie może być przyjaciółką „kultury" bolszewickiej.

Fot: Seiler.





Na prawo:
Sławny klasztor Belem jest chyba najcenniejszym pomnikiem średniowiecznej architektury Portugalii. Pod wpływem normandzkiej, a w VII i VIII stuleciu także maurytańskiej sztuki powstał charakterystyczny styl, który w jasnym blasku południowego słońca nadaje bajkowy wygląd bogato ornamentowanym budowlom.

Portugalia, kraj położony na zachodnim wybrzeżu Półwyspu Pirenejskiego posiada 7,5 miliona ludności. Prócz wąskiej nadbrzeżnej niziny, terytorium Portugalii pokrywają wyżyny i góry dochodzące do 2000 m wysokości. Mimo klimatu oceanicznego, panują w Portugaliii zwłaszcza na południu kraju silne upały. Portugalia ma tylko dwa wielkie miasta Lizbonę i Porto oraz cztery mniejsze z ludnością przeszło dwudziestotysięczną. Wszystkie inne miejscowości są albo małymi miasteczkami albo wsiami, ponieważ liczebną większość ludności stanowią rolnicy i gospodarka kraju oparta jest na wysoko rozwiniętym gospodarstwie rolnym.



Także i rybołówstwo jest w Portugalii pięknie rozwiniętą gałęzią gospodarstwa. Z konserw sporządzonych ze sardynek portugalskich korzysta prawie cała Europa.

NIEDZIELA



Na lewo: Dorośiejsza młodzież męska gromadzi się wokół sztandaru swego związku, aby przy święcie wziąć udział w jakimś pochodzie lub uroczystości i popisać się swoją postawą przed podziwiającą ich płcią piękną.



Na prawo: Nabożeństwo jest najważniejszym z punktów programu dnia świątecznego. Wymaga też od kobiet poważnego dostosowanego do powagi obrzędu kroku i skupionego wyrazu twarzy.

Poniżej: Stroje dalmatyńskie nie są wytworem fabrycznym. Tkają je same mieszkanki wsi z wełny własnych owiec. I w święto nie próżnują, a nawet wędrując niosą ze sobą wrzeciono i przędą nici, z których utkają potem piękne stroje dla swojej rodziny.





Ci dwaj okazali chłopcy w pięknych strojach narodowych na pewno mają w swoich żyłach krew korsarzy adriatyckich. Jednemu z nich to nawet patrzy z oczu.

Kraj wiecznej wiosny, Dalmacja. Położony naprzeciw Italii, o klimacie podobnym do włoskiego, o wybrzeżu bardziej urozmaiconym niż włoskie, nie miał i nie ma takiego powodzenia u turystów, nie jest tak znany jak wybrzeże słonecznej Italii. Dalmatyńczycy, potomkowie wojowniczych Ilirów, doskonałych żeglarzy i korsarzy, żyli współcześnie z Rzymianami i długo potrafili na swoim skalistym wybrzeżu, otoczonym rojem wysepek, obronić swoją niepodległość. Rzymianie zdołali ich ujarzmić, ale nigdy nie stali tutaj pewną stopą. Również niezależnie od tego kto władał wybrzeżem dalmatyńskim zachowali przez wieki swoją narodową niezależność, swoje zwyczaje, strój, mowę. Mocno wrośli widać w tę ziemię, chociaż nieurodzajną i niegościnną. Tak zazwyczaj bywa, że kochamy tych, którzy są dla nas nieprzystępni, nie odwzajemniają nas swoim uczuciem. Bo cóż im daje ta ziemia? Nieurodzajna, bo skalista i sucha, tylko skrawki niewielkie gleby posiada, a wnętrze kraju porosłe nielicznymi lasami i trawą a przeważnie gołe i skaliste. Drogi nieliczne, przystosowane do mułów i osiołków, a rzadko do samochodów, ale za to komunikacja wodna wspaniała! Liczne wysepki i zatoki tworzą doskonałe porty naturalne chronione od pełnego morza. Komunikacja tania, nie wymagająca takich kosztów jak droga kolejowa lub samochodowa. Kraj ciągnie się wąskim pasem wzdłuż wybrzeża, prawie wszędzie niezbyt daleko od morza. Nie znaczy to jednak, że mieszkańcy korzystają powszech-

Poniżej:
Chłopcy tutejsi wcale nie okazują zażenowania przed obiektywem. Zachowują się swobodnie, śmieją się niewymuszenie. Takich łobuzów wiejskich spotkamy wśród opłotków każdej wsi na kuli ziemskiej, rzadko jednak trafi się tak doskonale wyrobione „obiekty" do zdjęć.





Na lewo:
Dalmatyńczyk z żoną — z przyjemnym wyrazem twarzy, jak nakazuje zwykle fotograf, ale nie wymuszonym i szczerym.



Poniżej:
Oryginalne stroje nęcą każdego fotografa, aby skorzystać z okazji zrobienia ciekawych zdjęć. Nieznajomość języka zmusza jednak do posługiwania się m i m i k ą, jeśli chce się zachęcić ludzi do swobodnego ugrupowania się.



nie z komunikacji morskiej. Wybrzeża w wielu miejscach są skaliste, nie nadające się do żeglugi, a prymitywna gospodarka nie wymaga zbytniej ruchliwości od mieszkańców. Toteż ludność, nienawykła od dawna do ciężkiej pracy, umie i lubi próżnować. Niedziela i święto to okazja do próżnowania. Inaczej jednak próżnuje chłop z nizin, ciężko spracowany przez cały tydzień, a inaczej swobodny mieszkaniec gór lub żeglarz. Dalmatyńczyk jest właśnie albo góralem albo żeglarzem, a ponieważ ma krew korsarską w żyłach, więc tym bardziej lubi świętować na wesoło i ruchliwie. Lubi się ładnie ubrać w stroje tradycyjne, najczęściej dziedziczone od przodków lub zrobione własnoręcznie. Niestety na narodowym stroju dalmatyńskim znać wpływy długoletniego panowania tureckiego: fezy, bufiaste spodnie, lub wpływy miasta współczesnego: kapelusze lub ubrania. Święto i niedziela wymagają jednak, aby pokazać się w tradycyjnym stroju, dlatego też każdy wyciąga co ma. Każdy człowiek ma w sobie trochę próżności, a im więcej zbliżony jest do natury, tym naiwniejszą jest ta próżność. Dalmatyńczyk wie od licznych cudzoziemców zwiedzających wybrzeże i przebywających na letniskach Dalmacji, że strój jego podoba się, dlatego szczególnie cudzoziemcom stara się pokazać w całej świetności ubioru, chociaż często temu strojowi brak jakiejś części oryginalnej, i trzeba ją zastąpić tandetą fabryczną. Dalmatyńczycy lubią jazdę konną i w dni świąteczne, ubrani odświętnie urządzają „rajdy". Konie mają niezbyt reprezentatywny wygląd i brak im często siodeł i strzemion, ale jeźdźcy dumnie siedzą na swych małych konikach, przystosowanych do terenu górzystego, wytrwałych i silnych. Nastrój świąteczny kobiet wyraża się również w uroczystym próżnowaniu w strojach tradycyjnych. Ciekawość i próżność tej części rodzaju ludzkiego jest większa aniżeli męskiej, toteż strój jest okazalszy, okazywanie go na widok publiczny podkreślone przez zwyczajową skromność i stronienie od towarzystwa męskiego (szczególnie u mahometanek). Niedziela w Dalmacji, to nie dzień wypoczynku, ale pokazania się, toteż w tym nastawieniu trzeba przystąpić do oglądania ilustracyj, obrazujących życie świąteczne Dalmatyńczyków.



Na prawo:
Najbardziej rozpowszechnionym środkiem komunikacji jest koń, muł i osioł. Czy to na targ, czy do kościoła jadą mężczyźni konno, bo tak nakazuje zwyczaj i wygoda. Do kościoła nie zawsze jest blisko, a miasta są nieliczne.

Poniżej:
W popołudnie świąteczne najprzyjemniej jest usiąść sobie przy drodze dla pogawędki, oglądania przechodzących i obmawiania ich.

Fot. E. Witzleben



W DALMACJI

KOROWÓD SŁABOSTEK LUDZKICH

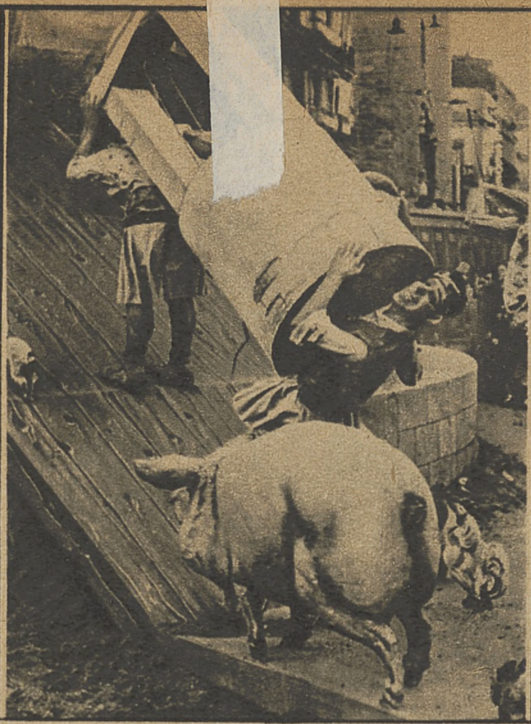
DZIEŃ „FALLASÓW" W WALENCJI

Wszystkie narody romańskie są doskonałymi obserwatorami. Może przyczyna tego tkwi w południowym, promiennym słońcu przesycającym potokami światła atmosferę krajów śródziemnomorskich i wydobywającym tym samym na jaw wszystkie szczegóły wyraźniej i lepiej, niż czyni to przesłonięte chmurami słońce Północy. A ponieważ ludy śródziemnomorskie są z natury bardzo towarzyskie, nic dziwnego przeto, że widzą doskonale zarówno zalety jak i słabostki swych bliźnich. Ale ludzie ci nie są bynajmniej pesymistami; zdają sobie oni dobrze z tego sprawę, że kłótnie, sprzeczki, suche moralizowanie i bezpośrednia krytyka nie dokona poprawy charakteru bliźniego. Wiedzą, że najlepsze lekarstwo stanowi w tych wypadkach ironia i satyra, przeto posługują się nią po mistrzowsku. I dlatego nie jest to żadnym przypadkiem, że gry satyrów, poprzedników arlekinów, błaznów nadwornych i klownów powstały na scenie starożytnej Grecji. Dowcipy aktorów przedstawiających satyrów, wyśmiewające już wówczas słabostki ludzkie i błędy charakteru cieszyły się tak dużą popularnością, że bez nich nie mogła się obejść żadna większa impreza czy uroczystość ludowa. Z biegiem lat przeszły w obyczaj ludowy.

Prócz Włochów, Hiszpanie są mistrzami satyry i groteskowego humoru. Między innymi świadczy o tym choćby karnawałowa zabawa „Fallasów", urządzana rok rocznie w Walencji. Clou jej stanowi pochód masek i wozów wiozących karykaturalne figury przez ulice miasta. Ludność ma wtedy okazję wyśmiać różne typy ujemne swego miasta, różne przywary ludzkie oraz przeżyć raz jeszcze pocieszne wydarzenia aktualne. W roku bieżącym postawiono pod pręgierz opinii publicznej pokątnych handlarzy i oszustów żerujących na naiwności ludzkiej oraz wszelkiego rodzaju paskarzy.



Potężne wymiarami figury obwożone po ulicach Walencji podczas święta „Fallasów" są doskonałymi karykaturami poszczególnych typów ludzi. Na zdjęciu na prawo: groteskowa figura handlarza naciągającego naiwną publiczność na kupno mostów, gmachów publicznych, pomników i historycznych zabytków miasta.



„Nie powinno się studni wynosić do góry, gdy woda jest w dolinie" — powiada hiszpańskie przysłowie, którego wspaniałą inscenizacją jest grupa (na prawo), która uzyskała pierwszą nagrodę.



Grupa (na prawo) jest ostrą krytyką marzycieli i fantastów, którzy żyją jedynie fantazją i iluzjami zasłaniającymi im obraz rzeczywistości, co symbolizują żelazne garnki na ich głowach.



Również handel pokątny jest wyśmiany z wielką dozą ironii. Wyraz twarzy paskarza (na zdjęciu obok w kole) mówi więcej niż całe tomy morałów.

Fot: Eurofo



Walka byków odgrywa dużą rolę w życiu Hiszpanów. Na zdjęciu poniżej widzimy groteskowe figury byków popijających szklaneczkę wina i zabawiających się pocieszną rozmową na temat ludzi.



Na prawo u dołu: U wszystkich trzech dziewcząt ta sama figura, ten sam wyraz twarzy, ta sama fryzura — smutny rezultat bezkrytycznego naśladownictwa mody girlasek, która kobiety przemienia w bezmyślne lalki.

Hanna Borzyńska

Narzeczony z walizki

Miarowy stukot kół kołysał z rytmicznym pomrukiem długi szereg czarnych, nie oświetlonych wagonów...

Toczył się pociąg z ostrym poświstem, dysząc ciężko kłębami szarego dymu, sypiąc pod ciemne, obwieszone nisko chmurami niebo, snop jasnych, żarzących się iskier.

Wiatr wył na polu długo, przeciągle... Porywał czerwone ogniki, rozdmuchiwał je z dziką pasją, szarpał i rozrzucał hen, gdzieś w wszystkie strony świata.

A pociąg pędził i pędził, rozdzierał czarną głębię lasu, gnał po zabłoconych łąkach, z trzaskiem toczył się po żelaznych mostach i pędził wciąż w tym samym rytmicznym, miarowym turkocie...

W wagonie było prawie ciemno i pusto.

W głębi wygodnie rozpierała się o ławkę jakaś starsza otyła pani, chrapliwym oddechem przerywająca ciszę. Tuż obok niej siedział wysoki jej małżonek, kościstą ręką sięgający raz po raz do koszyka i połykający z niebywałą szybkością przeróżne kanapki. Przy samym oknie wygodnie wtulała się w miękką materię wiszącego nad nią płaszcza młodziutka niewiasta. Znużony wzrok przesuwała po długich, czarnych drutach telegraficznych.

... Przysłonięte zmrokiem wieczornym, ledwo widoczne, majaczyły przed oczyma jakby uciekając z gwałtowną prędkością gdzieś w niebo... po to, by uderzone twardym drzewem słupa, opaść znów w dół i znów wspinać się w górę...

Wciąż to samo, to samo.

Deszcz dużymi kroplami zaczął nagle bić w szybę i już po chwili zalewał ją obfitym potokiem wody zawodząc monotonnie żałosną melodię... Ten jęk deszczu, wycie wiatru, miarowy stukot kół, powoli zlewać się zaczął, łączyć, spajać w umyśle Grażyny. Leniwym ruchem opadły jej powieki, kładąc długi cień rzęs na jasnym, różowym policzku.

Spokojnie uniosła się jej pierś w sennym, oddechu...

Brzęczał miarowy stukot rozpędzonych kół, i kołysał wszystko sennie.

I gnał pociąg równo, jednostajnie. —

Gdzieś zaświstała głośno lokomotywa, mocno zarysowały się kontury wysokich kamienic, rozbłysły jasno światła, rozwrzeszczały się liczne ludzkie głosy...

Przystanął pociąg wyrywając na chwilę pasażerów z sennego omdlenia.

Wysoki małżonek podszedł do okna i otworzywszy go, chwilę z kimś rozmawiał.

Wdarło się do wnętrza wagonu zimne, przenikliwe powietrze.

Grażyna rozespana zatrzęsła się z zimna i mocniej wtuliła się w płaszcz starannie okrywając się nim.

Głos rozmowy zza okna ucichł i małżonek zatrzaskując głośno okno zwrócił się do swej damy.

— Hela, stoimy tu 10 minut, czy przynieść ci herbaty?

— Ależ nie, mam gorącą herbatę w termosie, dziwnie skrzeczącym głosem odpowiedziała dama. — I proszę cię bardzo nie wychodź, znowu będzie...

Przerwał jej krótkim zdaniem:

— Ja muszę napić się czegoś ciepłego — i otwarł drzwi, zatrzaskując je po chwili z hałasem.

Korpulentna dama przez chwilę jeszcze tkwiła nieruchomo wzrokiem w drzwiach przedziału, gdzie zniknął, a później westchnąwszy sięgnęła do koszyka, zabierając się do jedzenia.

Widok świeżych bułek obudził apetyt i w Grażynie, która przysunąwszy swą teczkę z apetytem poczęła pałaszować jej zawartość.

Na peronie mieszał się plusk deszczu z gwarem toczących się wózków bagażowych, z odgłosem rozmów, pożegnań, okrzyków...

Z trzaskiem otwarły się drzwi przedziału i wsuwając ciężką walizkę wszedł bagażowy, a za nim wysoki, młody mężczyzna.

Bagażowy umieścił walizę na górnej półce, odebrał należne pieniądze i wyskoczył z powrotem na peron.

Młody człowiek rozglądał się wokoło, zdjął płaszcz, poprawił jeszcze walizkę i usiadł, przyglądając się ukradkiem towarzyszkom jazdy.

Objął wzrokiem otuloną w płaszcz postać Grażyny, przypatrzył się niedbale korpulentnej kobiecinie i wyciągnął wolno papierośnicę...

— Panie pozwolą, że zapalę — rzucił zwracając się raczej w stronę Grażyny.

Właśnie z kobiecą ciekawością przypatrywała mu się...

Spotkał się ich wzrok. Zmieszała się trochę i znów mocniej wtulając się w płaszcz odpowiedziała prawie równocześnie z otyłą damą — proszę —

Pociąg zagwizdał, rozległ się trzask zamykanych drzwiczek, głośniejsze, wzburzone okrzyki pożegnania.

Dama z wyraźnym niepokojem na twarzy potoczyła się raczej niż podeszła do drzwi, spoza zamazanej szyby usiłując dojrzeć wśród tłumu swego małżonka.

Pociąg zakołysał się, niby koń zdzielony boleśnie biczyskiem przysiadający na zadzie, a później nagłym ruchem jakiejś rozpaczliwej energii skoczył naprzód i potoczył się wolno swym biegiem...

Dama bez słowa zwróciła twarz do wnętrza wagonu. W oczach jej paliło się tyle jakowegoś smutku i rezygnacji, że Grażyna odrzuciwszy płaszcz podbiegła do niej.

— Proszę się uspokoić, mąż z pewnością jeszcze wskoczy jak nie do tego, to do innego wagonu.

Energicznym ruchem otwarła okno i wychyliła się.

Mijali już stację i z coraz to prędszym rytmem mijali długie szeregi ciemnych kamienic.

Grażyna bezradnie wychylała się jeszcze przez chwilę, ważąc w myśli słowa.

Wtem drzwi sąsiedniego przedziału otwarły się i wszedł spokojnie małżonek.



— Bolek, jak mogłeś! — zaskrzypiała tylko swym niemiłym głosem niewiasta i rzuciwszy Grażynie „dziękuję" usiadła z powrotem na ławce, rozdzierając znów swym chrapliwym oddechem ciszę.

Od chudego małżonka zalatywał mocny zapach pozwalający domyśleć się, jakiego rodzaju był ten ciepły napój...

Grażyna wróciła do swego kącika, ponownie otuliwszy się w płaszcz.

Powoli zapadać zaczęła dawna śpiąca atmosfera.

Młody mężczyzna ćmił papierosy, od których wąskimi pasemkami rozchodziły się niebieskawe kłęby dymu.

Deszcz walił zawzięcie w okna, turkotały znów miarowo koła...

Lekki półsen znów obejmował panowanie.

— — — — — — — — —

Kraków! — dał się słyszeć głos kolejarza.

Grażyna przetarła zaspane oczy i poderwała się pośpiesznie.

— Już Kraków, — wykrzyknęła, prędko naciągając płaszcz.

W wagonie powiększyła się znacznie liczba pasażerów, stosy przeróżnych walizek piętrzyły się na półkach.

— Młody, zdrowy sen — zaśmiał się ktoś z kąta.

Kilku mężczyzn skoczyło, aby wyciągnąć jej walizkę spod stosu innych.

— O ta, granatowa — tak... dziękuję bardzo...

— Bagażowy!!! — zawołała, wychylając się z przedziału.

Zimny deszcz, chlapa i czarna noc wionęła na nią zza okna.

— Do widzenia państwu, dziękuję, zawołała jeszcze, wyskakując za bagażowym.

... Fiakier zaciął konia i wśród błota i kałuż potoczyła się dorożka rozpryskując wokoło strumienie mętnej, brudnej wody...

— — — — — — — — —

W ciepłym różowym szlafroku położyła się wygodnie, rozkoszując się miękką elastycznością tapczanu.

Przez ch[illegible] wolnym ruchem sięgnęła po jedwabną poduszeczkę z ozdobnymi falbankami i podkładając ją pod głowę zawołała:

— Małgosiu! proszę cię, podaj mi gorącą herbatę, a potem wypakuj sukienki z walizki.

Przez wpółprzymknięte drzwi zadźwięczała odpowiedź — „dobrze proszę pani" — i po chwili wsunęła się do pokoju młoda wiejska dziewczyna o jasno modrych oczach, śmiesznie zadartym nosku i dziwnie mocno lśniących gładkich włosach.

— Proszę pani jest herbata i ciasteczka takie upiekłam jak to panienka lubi, — trzepała prędko, podsuwając Grażynie rumiane kruche ciastka.

— A gdzież jest walizka?

Ufff... jaka ciężka, zapiszczała jeszcze zza drzwi Małgorzata, pakując się do sypialni z granatową walizą.

Sypialnia Grażyny urządzona była bardzo ładnie i miło. Nowoczesne meble w jasnym tonie, duże okno przysłonięte muszlinową firanką, szeroki abażur lampy rzucający przyćmione światło na wiszący nad łóżkiem obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, tworzyły harmonijną i bardzo miłą całość.

Małgorzata ciężko postawiła walizkę i przysiadła obok niej na błyszczącej froterowanej podłodze. Otwarła walizkę i sięgając ręką do wnętrza zdziwiła się ogromnie. Były to czarne męskie spodnie, porządnie złożone wzdłuż kantek.

Małgorzata rozłożyła je, trzymała w rękach przez chwilę, kiwając głową, aż wreszcie ostrożnie przewiesiła je przez poręcz krzesła powracając do walizki. Zdumienie jej jednak rosło z każdą minutą... wyciągnęła bowiem z kolei cały szereg męskich koszul, a później ku swemu ogromnemu zdumieniu dalsze części garderoby męskiej.

I nic, ani śladu sukienek pani.

— Albo wyszła zamąż, albo co? — mruczała, wstając powoli i wsunęła się do przedpokoju, skąd pchnęła drzwi do gabinetu.

Grażyna leżała dalej na tapczanie od czasu do czasu chrupiąc ciastka...

— Coś chciała Małgosiu, zagadnęła wchodzącą dziewczynę.

— A bo proszę pani, gdzie mają być sukienki?

— Jakto gdzie? — zdziwiła się Grażyna — w walizce.

Małgorzata stała bezradnie rozkładając ręce.

— Nijak panienko — żadnej sukienki nie ma.

Grażyna uniosła się na łokciu.

— Co ty opowiadasz za brednie?, choraś czy co, gorączkę chyba masz.

Małgorzata uczuła się mocno dotkniętą.

— Ależ proszę pani, wyciągnęłam męskie spodnie, koszule, to gdzieby tak...

Grażyna nie pozwoliła jej skończyć, w jednym momencie zrozumiała sytuację.

— Musiałam zamienić walizkę, wykrzyknęła i wsuwając pantofle pobiegła do sypialni. Rozpaczliwym wzrokiem objęła wyjęte części garderoby męskiej i zawołała energicznie:

— Małgoś, pakuj to prędko!

Sama pospiesznie zdjęła szlafrok, naciągnęła sukienkę, płaszcz, kapelusz. Po chwilce już wśród ciemnej nocy jechała nagląc dorożkarza do pośpiechu. Sama nie wiedziała, czy da się coś załatwić, ale postanowiła zrobić wszystko, co było w jej mocy.

Była wściekle zdenerwowana. Niepokój i jakiś wewnętrzny głęboki żal nie dawał jej nawet usiedzieć spokojnie. Co chwilkę wychylała się zza czarnej budy, licząc odległość od dworca i nagląc znów fiakra do pośpiechu. Patrzał na nią z ciekawym zdziwieniem — poganiał szkapinę, która i tak nie zwiększała prędkości swego biegu.

Wreszcie dojechali.

Grażyna chwyciwszy walizę, pociągnęła ją do wnętrza budynku, i tu przystanęła.

Pomimo nocy kręciło się tu trochę ludzi, rozmawiając głośno, swobodnie.

Pocóż ja tu przyszłam? — pomyślała Grażyna obejmując obydwoma rękami głowę...

Walizka głupstwo... i rzeczy ostatecznie też, ale te jej klejnociki, te najdroższe na świecie pamiątki.

Nabrała nagle energii i podeszła do idącego kolejarza, którego nieswoim głosem zapytała:

— Proszę mnie pointormować, co mam zrobić? Przed dwiema godzinami przyjechałam osobowym z Kraśnika. W domu zauważyłam, że zamieniłam z kimś walizkę, czy nie dałoby się zatelefonować do następnych stacji — poniosłabym wszelkie koszta, mówiła rozgorączkowana.

Popatrzał na nią trochę z litością.

Duże jej czarne oczy zdało się jeszcze pociemniały, patrząc z jakąś błagalną wiarą w oczy urzędnika.

— Nic pani nie zrobi, niestety — rozkrzyżował ręce z wyrazem bezradności. Raz że zapóźno, a po drugie gdzie ten pociąg jechał?

Przysunął się do tablicy rozkładu jazdy, ale po chwili machnął ręką.

— Nie, nie ma nawet co szukać, dwie godziny już, — zresztą czy pani wie jak się nazywa właściciel?

Skinęła przecząco głową.

— Nikt się tym nie zajmie, to wykluczone, proszę czekać, przecież ma pani wzamian tę wymienioną walizkę, może ktoś się zgłosi.

Obrzucił ją jeszcze raz spojrzeniem i odszedł...

Opuściła ją nagle całkowicie energia, oparła się o ścianę opuszczając bezradnie ręce...

W oczach jej stanęły duże łzy, które potoczyły się po pobladłym policzku....

Ciąg dalszy w następnym numerze

Wiosenny List

Chciałabym żeby Ci gwiazdą rozbłysła każda litera,
gwiazdą z nocy majowej, jasną i srebrzystą.
Chciałabym wszystkie czary tej nocy pozbierać
i wszystkie wpleść Ci dzisiaj w kartki tego listu.

Czeremchy duszny zapach, księżyca tarczę złotą,
i nieba strop daleki, granatowo niebieski
I majowego wiatru chcę posłać Ci pieszczotę
i bzu pachnące kwiatki, niby liliowe łezki.

Szept liści kasztanowych, za oknem, tuż, w ogródku
Białorózowych wiśni przedziwne opowieści,
Konwalii tajemnice, szeptane po cichutku,
To wszystko w moim liście chciałabym Ci dziś zmieścić.

Mój uśmiech chcę Ci posłać i ramion moich uścisk,
i ust mych pocałunek, gorący, ufny, tkliwy,
I wiarę, że mnie kochasz i że mnie nie opuścisz,
że wrócisz i przyniesiesz różaniec dni szczęśliwych.

Chciałabym żebyś dłonie położył na te słowa
i ciepło ich dał każdej linijce i literce,
Zobaczysz... wiersz mój będzie dłonie Twe całował,
wyczujesz w nim jak bije gorące moje serce.

I wtedy ja odczuję Twe myśli i Twą miłość
W majowy cudny wieczór pachnący czeremchami
I choć nas kilometrów aż tyle rozdzieliło,
Dusze się nasze złączą, wysoko... pod gwiazdami.

— — — — — — — — — —

Posnęły już w ogrodzie różowobiałe wiśnie,
Więc śpij i Ty... dobranoc... już pewnie jesteś senny.
Niechże Ci sen tej nocy obrazem szczęścia błyśnie.
Śpij, kończę pocałunkiem mój pierwszy list wiosenny.

...ystyna Wodnicka

BIEG SZTAFETOWY

Młode małżeństwo. Koleżeńskie. Ona — blondynka, on — malarz. Nazywamy go wszyscy Fredziem. Z przyzwyczajenia.

Zaprosili mnie na uroczystość pierwszej rocznicy swego wariactwa. Długo — bo długo to trwało: cały rok. Ale miło było bardzo, błyskotliwa rozmowa, kalambury, „jedz, pij i zaciskaj pasa". Cóż, wojna.

Ona jako gospodyni — urocza. I jaka taktowna — schlebiała mi najwyraźniej. Wiedziała, że piszę, więc — szelma — pod tę próżność do mnie szczebiotliwie i wniebowzięta. Że jakoby dla niej dwaj tylko pisarze istnieją: „Faraon" (ten sam, co to Prusa napisał) i ja.

Zmarszczyłem brwi, lecz przełknąłem gładko cukierek. Trochę mi było nieprzyjemnie, że ktoś jeszcze też, ale trudno.

W czasie uczty zdążyłem odwdzięczyć się. Szepnąłem namiętnie, że działa na mnie jak wino — w głowie mi się kręci. Zrozumiałe, że kłamałem. Nie darmo człowiek pisze. Lecz zasady znam — nie niszczyć złudzeń.

Jeszcze tego samego dnia pokłócili się, a 5 minut przed godziną policyjną była na miejscu. U mnie. Nie wygnałem. Bezdomna była, a takich (znacie dobrze!) „w dom przyjąć". Zresztą była bardzo ciepła i wygodna. Tej nocy stałem się dla niej jedynym pisarzem, bo jak ogólnie wiadomo Prus nie żyje, a faraon daleko.

Przed tygodniem wyszła z domu: nie wróciła. Blondynka, niebieskie oczy, okrągła twarz, nosek z lekka zadarty, bardzo zgrabna, na lewej łopatce znamię wielkości grosza. Tyle samo jest warta. Dlatego nie zamieściłem ogłoszeń w prasie, nie szukałem. Była jak wino, nie przeczę, ale zbyt młode. Zresztą po winie następuje podobno kara, więc postanowiłem poddać się jej — i niech mnie zadręczy samotność. Dobrze mi tak. Cierpiało ciało, co mu się chciało.

Wczoraj spotkałem Fredzia. Dobrze wyglądał, zdrowo. Opalony. Ja też już dochodziłem do siebie. Wymieniliśmy uprzejmości jak ukłony. Gadało się o tym, o owym. W pewnej chwili zagadnął.

— Wiesz, gdzie Ninka?

— Nie.

— U tego staruszka, który ma willę w Aninie. Znasz go.

— Ma 78 lat.

— Ten sam.

— Dziewczyna biega jak w sztafecie — mruknąłem. — Ale skąd wiesz?

— Sama mi mówiła. Spotkałem ją kilka dni temu. Powiedziała że tacy młodzi, jak my, możemy poczekać. Tamten nie ma czasu.

— Też racja.

— Zresztą traktuje to jako wypoczynek. Urlop.

— Jednak pochlebia nam.

— Tak, ale obiecała wrócić.

Wzruszyłem ramionami.

— I to cię martwi? Nie przejmuj się. Statystyka wykazuje, że liczba zgonów wśród starców jest bardzo mała. Głowa do góry!

Rozpogodził się. Jak to taka martwa zdawałoby się statystyka człowieka może ożywić. Beztrosko wkroczyliśmy w podwoje, za którymi zmartwione małżonki odnajdują zgubionych mężów. Alkohol przecież gubi ludzi. A myśmy się odnaleźli.

Gustaw Motyka



PRAWDZIWE KŁAMSTWO

T. BOGUSZEWSKA

Każdy zwyczajny śmiertelnik (ja, ty czy on) — cieszy się, martwi, nudzi i bawi się na swój tylko własny rachunek — wcale nie wtajemniczając w swe prywatne przeżycia znajomych swych czy sąsiadów, chyba tych najbliższych i najbardziej zaprzyjaźnionych. Innego zupełnie rodzaju bywa sprawa, gdy cieszy się, martwi, nudzi czy bawi — jakaś znacznie znaczniejsza persona: np. książę, prezydent czy król! Możliwe, że w ostatnich czasach bywa inaczej — ale przed wielu, wielu laty — kiedy to zdarzyła się właśnie ta zabawna historyjka, o której chcę wam teraz opowiedzieć, wszelkie najbardziej intymne przeżycia władcy — stawały się zwykle własnością ogółu.

Gdy cieszył się, martwił, nudził czy bawił pan znaczny, książę czy król — mobilizowało się dwór cały, księstwo — ba! nieraz i cały kraj!

Toteż więc nikogo tak bardzo to nie zdziwiło, gdy raz, po pewnym księstwie rozbiegło się kilkunastu książęcych heroldów — głosząc wszystkim poddanym, że pan ich i władca śmiertelnie się nudzi — chce się zabawić — a wpadła mu właśnie do książęcej głowy niezwykle piękna, niecodzienna myśl: da wór dukatów temu, kto mu opowie: prawdziwe kłamstwo!

Więc we dnie i nocą — dróżkami, ścieżkami i wprost na przełaj — biegli ku zamkowi na wyścigi przeróżni ludzie: młodzi i starzy, mądrzy i głupi, dobrzy i źli — a każdy sądził, że to on właśnie, a nie inny, zdobędzie upragnioną nagrodę. Ale znudzony książę nudził się i ziewał coraz rozpaczliwiej, aż brzęczały witrażowe szybki w oknach gotyckiej sali, gdzie udzielał przybyłym posłuchania, a na wszystkie nieprawdopodobne historie, kłamstwa i brednie opowiadane przez łasych na złoto kłamczuchów, odpowiadał niezmiennie to samo: „Nie przeczę — to co mówisz może istotnie być prawdą, świat przecież jest pełen niezwykłych możliwości . . .", przysłaniał wypieszczoną dłonią usta, chcąc zamaskować lekkie ziewnięcie, i skinieniem głowy dawał rozkaz aby wyprowadzali nudzącego go gościa.

Nic też dziwnego, że nadworni książęcy lekarze z rozpaczy wydzierali resztki włosów ze swoich mądrych, łysiejących głów i wyłamywali sobie palce rąk ze stawów.

— Książę się nudzi!!! co robić??? Czym go zabawić — książę jest bliski melancholii . . ."

Aż któregoś dnia — zgłosił się na książęcy dwór wesoły oberwaniec Maciuś, prowadząc na słomianym powróśle łaciatego capka, z przerzuconym przez grzbiet pustym pokrzywionym workiem. Nie chciano go wpuścić na książęce pokoje, a już stanowczo zaprotestowano, gdy się upierał aby jego czworonogi towarzysz też miał wstęp do audiencyjnej sali. Jednak wymknął się straży by stanąć przed książęcym obliczem. A właśnie dwóch panów zabawiało księcia niezwykłymi historiami: Jeden opowiadał, że nadleciał nad miasto ptak olbrzymi, rozpostarł czarne skrzydła tak szeroko, że noc ogarnęła wszystkie domy i ulice. Musiano pozapalać światła i latarnie, bo trafić nikt nie mógł do swej kamienicy. Książę — który niczemu się nie dziwił, kiwnął lekceważąco ręką i wyrozumiale oświadczył, że rozmaite rodzaje ptaków bywają na świecie — są małe, mogą więc być również i duże, nie uważa tego wcale za zełganie. Więc też zaraz drugi panisko uzupełnił gadkę pierwszego opowieścią o olbrzymim jaju, które jakoby miał znieść ów ptak — a jajo upadając rozbiło się na bruku, i żółta jajecznica tak zalała wszystkie ulice, że obywatele miasta brodzili w niej po kolana. Lecz książę — uśmiechnął się znów uprzejmie i orzekł, że wielki ptak może znieść tylko wielkie jajo — nie uważa aby mogło być inaczej, nie przyznał opowiadającym nagrody, tylko tak jak i poprzednich, kazał za drzwi wyprawić.





W chwili gdy wychodzili niefortunni kandydaci do książęcych dukatów, z kąta sali odezwało się cichutkie, capkowe pobekiwanie.

— Ki diabeł! cóż ten cap tu robi?

Nie było innej rady; Maciuś nabrał odwagi, wysunął się z mrocznego kąta sali i prosto z mostu pali księciu:

— To mój capek. Przyszliśmy tu obaj z pustym workiem, aby nam razem łatwiej było dźwigać dukaty, które nam się od księcia należą!

— Dukaty? — zadziwił się książę. — Chyba wiesz, że dukaty dam temu, kto mi opowie prawdziwe kłamstwo — a do tej pory nikomu się to jeszcze nie udało, wątpię abyś ty miał mieć więcej szczęścia od innych . . .

Ale Maciuś ściągnął tylko parciany worek z grzbietu swego przyjaciela i dalej napierać się o napełnienie worka dukatami, w kółko powtarzając, że słusznie mu się należą.

— Wytłumacz mi wpierw dlaczego te dukaty uważasz już za swoje? — pytał książę ubawiony natarczywością chłopka.

— Bom miał ich pełen worek, akurat pełniuteńki . . .

— I cóżeś z nimi zrobił żeś teraz taki ubogi?

— Com zrobił? Nie pytajcie wiele . . . Wiadomo, że wasz ojciec wycyganił je ode mnie za trzy kapuściane kaczany...

— Mój ojciec? Książę? Ej! a kiedyżeś ty się znał z księciem, ojcem moim?

— Wiadomo kiedy, mało żeśmy się to razem, świniarkami bywszy, napaśli wieprzy na gminnym paświsku?

— Co!?! Mój ojciec wieprze pasał!! A ty kłamczuchu wierutny, a ty łajdaku przebrzydły! Pasy drzeć z ciebie każę — do lochu wrzucę! Dworzanie — za świadków was biorę, jako ten przebiegły kłamca ważył się oczernić książęcy majestat mojego książęcego ojca!!!

Rozsierdził się pan bez miary. Krew zalała mu jaśniepańskie oblicze oczy, wylazły z orbit, a książęca mitra z brzękiem potoczyła mu się na podłogę i byłby tak krzyczał dłużej — wielce srogi, ale nowa fala gniewu uderzyła tak gwałtownie o jego struny głosowe, że ani tchu, ani głosu wydobyć z gardła nie był w stanie. Z tej nikłej chwilki skorzystał sprytny Maciuś, zgiął się pokornie przed księciem — obszarpanym słomianym kapeluszem zamiótł zamaszyście nieistniejący pyłek z książęcej posadzki i uśmiechnięty uroczo oświadczył:

— Właśnie tego pragnąłem, najjaśniejszy panie, pięknie przeto proszę za usłyszane prawdziwe kłamstwo o obiecaną prawdziwą nagrodę!

ZMIERZCH

STEFAN TÖMÖRKENY

Skończyli swoją wieczerzę i odłożyli drewniane łyżki, których trzonki zdobiły czerwone i niebieskie kwiaty. Matka, ojciec i syn, oto cała rodzina Vadlövö. Matka wynosi półmiski. W izbie pozostają tylko dwaj mężczyźni.

— Podaj mi tutaj Łukasza, mój synu, na jeden łyk.

Syn, dojrzały już mężczyzna sięga po Łukasza, który stał dotychczas nietknięty na stole. Łukaszem nazywają piękny, pękaty dzban, z którego pito wino. Chłopak podaje go ojcu tak, aby mógł chwycić za ucho. Stary wypił trochę wina, następnie oddał Łukasza synowi: — Masz, mój synu.

Zmierzcha się. Obydwaj mężczyźni chwycili za fajki leżące na podoknicy, napchali je, nie mówiąc ani słowa. Sándor wyjmuje zapałkę z kieszeni kamizelki, pociera o płytę stołową i zapala. Stary czyni to samo. Zaledwie jednak zaczął palić, przerywa i mówi: — Popatrz no! — I nagle blednąc odkłada fajkę. Sándor patrzy na niego zdumiony, nie rozumiejąc co mu się stało. Stary patrzy ponuro przed siebie. Po chwili mówi:

— Tytoń już mi nie smakuje. Sądzę, że bliski jest mój koniec.

— Co wy mówicie! — przeczy mu syn.

— To musi tak być — obstaje stary.

Pál Vadlövö jest małomównym człowiekiem. Był dwanaście lat żołnierzem, zawsze poza krajem. Walczył w wielu bitwach i Włosi przedziurawili go swymi kulami karabinowymi. Rany bolały, ale właściwie nie był chorym. I odkąd przebywał znów w domu, niczego mu nie brakowało. Nie myślał o śmierci. Ale teraz przyszła mu nagle na myśl śmierć, ponieważ po raz pierwszy nie smakowała mu fajka.

— Dużo przeszedłem w życiu, — zaczął znowu, — ale nie zdarzyło mi się, aby mi tytoń nie smakował. To jest zły znak.

— Czy naprawdę jesteście chorzy?

— Chory? Jeszcze nim nie jestem. Ale z pewnością wkrótce nim będę.

Sándor nic nie odpowiedział. Wię, że ojciec nie znosi sprzeciwu. Pál Vadlövö jest jednym z twardych, i tych surowych wieśniaków, którzy życie ujmują w silne ręce, jeden z wysłużonych starych żołnierzy, którzy jak mówią „króla zastępowali", gdyż król, którego obowiązkiem jest chronić kraj, nie może we własnej osobie być wszędzie, a więc oni z bronią w ręku są zastępcami króla.

Ponieważ Sándor nic nie odpowiada, ciągnie znowu dalej stary:

— Chciałbym tylko wiedzieć, do kogo ten folwark będzie należał, gdy mnie zabraknie.

— Nie umrzecię ojcze!

— Jeżeli jednak umrę?

— Wtedy do matki i do mnie.

— Odłóż fajkę! Nie mogę patrzeć na jej dym. Tak to prawda. Twojej matki i ciebie. Ale matka jest tak stara jak i ja, i ona jest bliższa grobu aniżeli kołyski. Jak więc będziesz gospodarował bez kobiety?

Chłopak milczy. Jest całkiem cicho, tylko przez sień słychać szczęk naczyń. I słychać, jak w piecu wali się żar szczepu winnego, którym palą. Po krótkiej chwili mówi Sándor poważnie:

— Gdy wróciłem z wojska do domu, minęło już osiem lat...

— Dziewięć lat minęło w jesieni. Wyjechałem naprzeciwko ciebie z matką.

— Dobrze, a więc dziewięć lat. Wtedy także była mowa o tym, abym się ożenił. Chciałem pojąć za żonę Emer Vér. I kto mi zabronił?

Stary siedzi i przypatruje się synowi. Jak w zwierciadle widzi minione zdarzenia.

— Nie zezwoliłem mój synu, — mówi. — Ty byłeś dla mnie za dobry, aby żenić się z dziewczyną z takiej rodziny. Powiedziałem: Jesteś synem rolnika, więc wprowadź do domu córkę rolnika, ale nie taką!

Słychać, jak parobek pędzi krowy do studni, słychać twarde uderzenie jego podków na zmarzniętej ziemi. Przechodzą teraz koło okna. Tyle pięknych zwierząt.

— Nie szukałem jednak żadnej innej, — mówi teraz chłopak.

— Głupota młodzieńcza, która już przeszła. Ale teraz, gdy czuję swój bliski koniec, pytam cię: Jak chcesz gospodarować bez kobiety?

Sándor podnosi się. Chciałby przemówić, ale nie może się odważyć. Ucieka się do Łukasza i robi duży haust. Potrzebuje odwagi.

— A więc, — mówi w końcu. — Ożenię się jeszcze dzisiaj. Sprowadzę ją tu, jeżeli sobie ojciec tego życzy.

— Kogo?

— Emer! Emer Vér!

Ręka starego, która spoczywała na brzegu stołu, drży silnie, jakby oziębiło się nagle w izbie.

— Panie Boże, co za zwariowany świat, co za nowy świat!

Na dworze zciemniło się prawie zupełnie. Ochryple wyrzuca stary ze siebie:

— Nawet pies nie weźmie Emer Vér.

— Dla mnie jest dobra.

— Upadła osoba!

W silnym gniewie krzyczy stary: — Ma dziecko! Podłego chłystka! W jesieni wpuścił świnie do naszej winnicy. Wtedy uderzyłem go batem w twarz, tak, że mu krew popłynęła.

Teraz płonie gniewem także i drugi mężczyzna. Niewypowiedziana wściekłość ogarnia go. Jest moment, w którym nie ma, ani ojca, ani syna. Tylko dwaj rozpętani ludzie, stoją naprzeciw siebie. To jest moment, w którym można chwycić za nóż, gdyby tylko leżał na stole. Szczęście, że go nie ma, że tylko drewnianymi łyżkami jedzono mamałygę.

— Wyście go uderzyli? — wybuchnął Sándor w straszliwym gniewie. — A więc dobrze! Bijcie go więc, aby krew płynęła po jego twarzy! Jest to przecież dziecko waszego jedynego syna! Czyście nie poznali swej własnej krwi, gdyście to biedne dziecko krwawili!

Wchodzi przerażona matka do izby, przywołana hałasem i właśnie słyszy ostatnie słowa swego syna.

Namiętnie ciągnie Sándor dalej:

— Bijcie go tylko! Bijcie go na śmierć! Zabijcie go! Jesteście jego dziadkiem. Macie prawo do tego!

Stary Pál Vadlövö wlepił wzrok w swego syna, jakby widział jakiś straszny sen. Zdaje mu się, że jego i cały dom objęły płomienie. Co to jest na litość Boską? Co się dzieje? Co się nie dzieje w świecie! Wnuk? Jaki wnuk? A więc Sándor i Emer...

Pomału uspokaja się chłopak. Bardziej opanowany ciągnie dalej: — Będzie najlepszą rzeczą, jeżeli jego i matkę zabiorę stąd, abyście nie mogli go więcej bić.

— Kogo? — jąka stary.

— Małego Pál!

— Pál, na imię mu Pál...

— Tak jak jego dziadkowi. Ruszę z nim w świat. Tak daleko, aby nie dosięgnął go bat, ojcze.

Wtedy podnosi stary głowę:

— I dokąd chcesz iść? Do kogo? Gdzie znajdziesz schronienie i dom?

Ale te wyrazy życzliwości nie pomagają. Sándor patrzy coraz chmurniej.

— Pracę znajdę wszędzie. Także u was pracowałem jak parobek, odkąd tylko pamiętam. Nikt nie może mi zarzucić, że próżnowałem. Teraz odchodzę. Mojego syna nie będziecie więcej bili. Rozumiecie mnie ojcze? Mojego syna nie będziecie więcej bili! Nikt go nie będzie bił! — z tymi słowy kieruje się do drzwi, aby w mroźną ciemność wyjść i więcej nie wrócić.

Ale matka zastępuje mu drogę i kładzie rękę na jego ramieniu.

— Dziecko, moje dziecko! Nie zostawiaj mnie samej! Nie opuszczaj mnie, w przeciwnym razie umrę!

Słowo matki, to słowo anioła w ziemskim życiu. Serce syna zadrżało i stanął ze spuszczoną głową.

— Kochana, kochana matko! — szepce.

— Mój synu! — prosił z ławy Vadlövö.

Cicho mówi kobieta: — Czy nie masz ani jednego słowa dla swego ojca, moje dziecko?

Ale głęboko zranione serce męskie bije tylko dla starej matki.

Tymczasem nastała zupełna ciemność. Tylko słabe światło księżyca, który znajduje się za śnieżnymi chmurami, wpada do izby.

Wtedy powtórnie prosi cicho Pál Vadlövö z ławy:

— Mój synu!

— Ojcze?

— Przyprowadź mi mojego wnuka!

Tłum. A. G.

ZE SCENY

Gościnny występ artystów warszawskich.

Korff-Kawecka, Bittnerówna, Kapliński, Jaksztas.

Po całej serii zespołowych występów artystów scen warszawskich — na scenie Krakowskiego Teatru Powszechnego — imprezę ostatnią uznać należy za najlepszą z dotychczasowych, gdyż nie będąc ani rewią, ani kabaretem — tylko (użyjemy urobionego lecz w tym wypadku ścisłego określenia) koncertem raczej i to koncertem nie tylko pieśni, lecz także tańca i słowa; z programem stojącym na najwyższym poziomie literackim i artystycznym.



Świetny konferansjer i recytator Antoni Jaksztas z Warszawy występuje gościnnie na scenie Krakowskiego Teatru Powszechnego.

Bogaty program — obmyślany z dużą kulturą — opracowany z rzetelnym wysiłkiem — podany szlachetnie; stanowił nadspodziewanie miłą i logicznie powiązaną całość.

Ogrom wyszukanej treści, miłej emocji, duchowego zadowolenia i wykwintnego dowcipu — płynący ze sceny zacierał świadomość, że wykonawców było zaledwie czworo.

Najpiękniejszą ozdobą i atrakcją wieczoru była bezkonkurencyjna czarująca **Basia Bittnerówna,** że swoim partnerem **Jerzym Kaplińskim.**

Nie będziemy tu omawiać ich boskiego talentu ani owych zawrotnie śmiałych pomysłów tanecznych, bo to uczyniliśmy już w poprzednich recenzjach.

Chcemy tylko raz jeszcze stwierdzić, że para taneczna: Bittnerówna — Kapliński — stoi już na tym stopniu choreograficznej perfekcji, że może bez najmniejszych zastrzeżeń i godnie reprezentować sztukę polską na największych scenach zagranicznych.

Dziś stanowią oni jedyny duet, który nie zaprzągł sztuki tańca do rydwanu pospolitych uciech, lecz pielęgnuje ideę tańca istotnego, a więc sztukę naznaczoną stygmatem dostojeństwa.

Nie mniej wdzięczną i efektowną część programu — pieśń — podała wystawnie **Helena Korff-Kawecka.** Jej wspaniały głos operowy o niezwykłym bogactwie wysokich tonów — zabłysnął w całej pełni. Ze swego bogatego repertuaru odśpiewała — między innymi — arię z op. „Halka" — Moniuszki, arię „Violetty" z op. „Traviata" — Verdiego oraz Straussa — „Odgłosy wiosenne" i „Opowieści lasku wiedeńskiego".



Wybitna para taneczna z Warszawy Barbara Bittnerówna i Jerzy Kapliński w obrazku ludowym „Na wileńskim kiermaszu".

Wiele słów uznania należy się **Antoniemu Jaksztasowi** za świetną konferansjerkę z recytacjami, dzięki której impreza nabrała korzystnego iście tanecznego tempa, stając się tym samym skondensowaną całością. Każda jego piosenka, recytacja czy melodeklamacja tak w tematyce jak i w interpretacji doskonała i interesująca, i podana publiczności z artystycznym umiarem.

Ten pełnowartościowy, efektowny i barwny spektakl o niezatartym wrażeniu oceniła należycie publiczność darząc miłych gości rzęsistymi i długotrwałymi oklaskami.

Całość uzupełnia — coraz to sprawniejsza — orkiestra pod kierownictwem Adama Lenczowskiego.

Paliwoda-Matiolański



Znakomity skrzypek-wirtuoz Stanisław Mikuszewski, który doskonałą grą przyczynił się w dużym stopniu do uświetnienia XII koncertu symfonicznego Filharmonii GG. (Koncert ten został — na ogólne żądanie publiczności — powtórzony w niedzielę dnia 21. V. br.)



Wspaniała para aktorów H. Ochalska i J. Junosza w sztuce „Chata za wsią" według powieści J. I. Kraszewskiego wystawionej w teatrze „Miraż" w Warszawie.

Fot. Wdowiński

Dyrektor Jerzy Junosza wystawił w teatrze „Miraż" nie graną od lat dwudziestu w Warszawie sztukę według powieści J. I. Kraszewskiego „Chata za wsią".

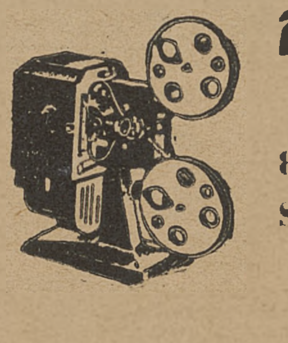
Z licznego i dobrze zgranego zespołu wymienić należy: H. Ochalską (doskonała Motruna), J. I. Jedyńską (cyganka Aza), J. Junoszę (cygan Tumry), J. Józefowicza (wspaniały jako głupi Janko) i M. Mieczyńskiego (ojciec). Całość tego barwnego widowiska dopełniają z temperamentem wykonane tańce układu Zdz. Zadeyki piękne dekoracje E. Marszałka i orkiestra pod batutą B. Wasiaka.

Z. Bakuła

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900












Feluś „Idzie do Baudienstu...."
Idzie Feluś do Baudienstu,
Nie jest mu wesoło,
Ciężki kufer z „żera" niesie,
Pot mu rosi czoło.
A gdy doszedł do obozu
Wszystko się zmieniło —
Koledzy go przywitali
I wesoło było!
Wnet do kuchni go zagnali
Po zupę, do kotła —
Ale, że się grandą pchali,
W ruchu była miotła.
Po jedzeniu nie zaszkodzi
Nigdy trochę ruchu,
Feluś wpadł między kolegów
I dostał po . . . „uchu".
Do łozka się spać położył.
(To nie jego wina!)
Chłopcy łóżkiem poruszyli
I . . . spadł biedaczyna.
Rano poszedł na budowę —
Tam „autem" kierował,
I gdy szybko brał zakręty —
To . . . nosem hamował.
Wieczór przyszła słodka Kasia
Przyniosła nowinki,
I ponadto bochen chleba
I funcik . . . słoninki.
W koszarach się wreszcie znudził,
Więc koledzy radzą:
— Walaj Feluś wprost przez druty,
To cię w „bunkier" wsadzą.
Idzie Feluś i pomyślnie
Napotkał Kasienkę!
A, że zimno trochę było,
Wziął ją wnet pod „rekę".
Wtem mu rywal w drogę wchodzi,
Co jest istną męką!
— Idź do diabła! — prosi Feluś
I . . . „tłumaczy ręką!"
A przysłowie dobrze mówi
I to prawda czysta:
„Że tam, gdzie się dwóch pobije —
To trzeci skorzysta".
Zwiedził Feluś też tandetę,
Gdzie piwa nawarzył,
Bo się dostał w miłe grono
Krakowskich „kanciarzy".
— Pusta! Pełna! Grać panowie!
Feluś raz obstawił
I na stole „kóleczkarza"
Cały żołd zostawił.
Pech za pechem zawsze idzie
Oto dowód tego,
Bo po kilku prawie krokach
Wpadł na „kontrolnego".
Przepustkę miał sprzed tygodnia
Więc się biedak sparzył —
I o pięknej swej wędrówce
W bunkrze będzie marzył!



W MAJOWĄ NIEDZIELĘ

Fot. Borek